TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 42. *Chicago, Ills., 14 Kwietnia, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tu Janek zamilkł...

— A jakże imię tej dobrej pani? — przerwała cichym głosem Ewunia.

Janek wymówił imię z poszanowaniem i łza mu się zakręciła w oku. Chciwem uchem pochwyciła je pisarzowa i uderzyła w ręce.

— A mój Boże, — krzyknęła — to moja dobra przyjaciółka; to anioł dobroci... to czcigodna ex-wojewodzina, nieszczęście tylko, że takiego dostała męża. Ale to waćpan chyba nie wiesz, żo ona tu od trzech dni gości, że przybyła radzić się doktorów, którzy ją do Karlsbadu wyprawiają.

Janek aż się z siedzenia porwał.

— O! mój Boże, toćbym nie wiedząc zaniedbał był pójść i kolana jej uścisnąć! Jakież to dobrodziejstwo wyświadczyłaś mi pani, że się z jej ust o tem dowiaduję. Ale gdzież ją znajdę?

-— Najprzód, jutro u mnie — przerwała pisarzowa — bom ją prosiła na obiad, a kiedy tak rzeczy stoją, to i waćpan tu być musisz... potem znajdziesz ją waćpan o trzy domy ztąd, w najętem mieszkaniu, gdzie sklep angielski na dole; ale proszę waćpana, nie idź wprzódy, niech ma tę miłą niespodziankę tu, u mnie...

Na samą myśl tego spotkania radowała się dusza Jankowi, twarz mu pojaśniała, rozpromie-

nił, zmienił się, ożywił. Ewuni też oczy zabłysły radością, a gdy wstali od stołu, tak się jakoś zrządziło, że do jej krzesełka przy krosienkach chłopak mógł przystąpić. W nadziei, że te stosunki niedługo potrwają, pisarzowa była pobłażającą.

— Cóżeś to pan Jan tam mówił u stołu? — odezwała się cicho pisarzówna — że chcesz księdzem zostać. Ale my przecie, pamiętasz pan? daliśmy sobie słowo, że będziemy bratem i siostrą całe życie, i że żadne z nas bez pozwolenia drugiego nic postanowić o sobie nie ma prawa! Ot to pięknię, żebyś pan mi się w tę smutną czarną sukienke miał oblec.... Ale ja na to nie pozwolę... Jabym w takim razie musiała chyba mniszką zostać, nie, nie.

— A! panno pisarzówno, dobrodziejko, — rzekł Leliwa — pani masz do wyboru suknie, stan, los, wszystko, ja biedny człowiek... muszę tam iść, gdzie mnie gna przeznaczenie...

— Ale tylko za mojem pozwoleniem — dodała smutnie uśmiechając się Ewunia — jeźli mnie już na tym świecie nie będzie, wówczas czyń pan sobie, co mu się podoba...

Łza zakręciła się w jej oczku. — Tak — dodała — nie zapomnę nigdy, żeś mi pan ocalił życie i że ja mam obowiązek czuwać nad pańskiem... Ja to biorę na seryo! o seryo! bardzo... Dla czegóżbyś pan nie miał ufać w to, że ja... że ja tego obowiązku nie zdradzę, że mu będę wierną... siostrą.... aż do śmierci.

Słowa te wypowiedziane tak cicho, że tylko ucho rozmiłowanego dosłyszeć je mogło. Jankowi w oku zakręciła się łza, schylił się niby po upadający kłębuszek nici, i wyciągniętą jej bladą, białą, chudziutką rączkę pocałował usty gorącemi. Jakim cudem nikt tego nie dostrzegł... to tylko Pan Bóg wiedzieć może, który czasem poczciwą miłość osłania i nią się opiekuje...

Wkrótce potem Leliwa pożegnał pisarzowę, która mu przypomniała, aby jutro się stawił, i szczęśliwszy niż był kiedykolwiek w życiu, uciekł ze skarbami swymi do domu.

Z bijącem sercem, rozrzewniony, drżący zbliżał się Janek do mieszkania pani pisarzowej. Przed gankiem stała już kareta sześciokonna i kręciła się służba ex-wojewodzinej.... Jan szedł, i strach go jakiś ogarniał, jakby ta chwila o jego życiu i przyszłości stanowić miała... W progu ręka sama z nawyknienia pobożnego, krzyż położyła na piersiach, i. pomyślał mimowolnie, a raczej głos usłyszał, który mu mówił wewnątrz: In hoc signo vinces. Otworzyły się drzwi. Leliwa wszedł powoli.... W salonie wszyscy już byli zgromadzeni: pisarzowa, jej córki, kuzynka, a na kanapie siedziała blada i mizerna ex-wojewodzina z Łowczyna. Gdy Janka zobaczyła, oczy jej oderwać się od niego nie mogły; chłopak szedł do gospodyni, wedle obyczaju całując jej rękę. Wojewodzina patrzała nań, oddech wstrzymując długo, nareszcie porwała się z dawno niebywałą żywością z kanapy i głosem silnym zapytała jakby nieprzytomna:

— Kto to jest? kto to jest?

Janek zwrócił się ku niej, podszedł i ukląkł przed nią.

— Pani — rzekł dobywając z za sukni na piersiach złożony łańcuch złoty — po tym znaku poznasz tego, któremu dałaś wychowanie i przyszłość. Ja jestem ten ubogi chłopak, którego spotkałaś pod Krakowem w ubogiej siermiężce, i nad którego głową twe błogosławieństwo zawisło... towarzysząc mu w dalszej drodze życia.

Ex-wojewodzina wyciągnęła ręce nie mogąc rzec słowa...

— Dziecko moje... odezwała się z płaczem — a! jakżem ja szczęśliwa, żeś mi w sobie przyniósł obraz mojej przeszłości! że cię jeszcze żywemi widzę oczyma! a! Boże wszechmocny, co za podobieństwo...

To mówiąc zakryła oczy i płakać zaczęła, lecz oschły te łzy wprędce, usta się uśmiechnęły.

— Siadajże tu, przy mnie — rzekła — pozwól, niech się na ciebie popatrzę; powiedz mi, co się z tobą działo? jakim sposobem znalazłeś się dziś tu, w tym domu?

Zbliżyła się pani pisarzowa, aby dopomódz opowiadaniu Leliwy. W kilku słowach on sam naprzód o młodości swej wspomniał, nie wymieniając Brzeskiego, który go przestrzegł, ażeby o nim nie wspominał. Powiedział, że za protekcyą dostał się na dwór królewski... Pani pisarzowa opisała wypadek, któremu winna by-

ła poznanie Leliwy, potem tę nieszczęsną historyą Price i medalów.

Ex-wojewodzina słuchała wzdychając z niezwyczajnem zajęciem, ale pilniej jeszcze oczy jej każdy rys twarzy Janka śledziły i rozpatrywały. Nagle z krzykiem podniosła się z kanapy i obejmując go rękami, z oczyma zapalonemi jakby obłąkaną radością, poczęła wołać: Znamię! znamię!

Dopiero w tej chwili bowiem dostrzegła pod uchem ten znak rodzimy, o którym już Łowczyna przy pierwszem widzeniu wiedziała. Nierychło spostrzegła się, że to uniesienie mogło być dziwnie tłumaczone, i nagle zamilkła... Myśl jej błąkała się w najdziwniejszych przypuszczeniach... To znamię właśnie pamiętała na twarzyczce utraconego dziecięcia.

Lecz jakimżeby sposobem ono ocalone być miało? Cały szereg przypuszczeń przesunął się po głowie kobiety nieszczęśliwej, której wzruszenie słowa już mówić nie dało.

— A! moja najdroższa pisarzowo — rzekła nakoniec zdobywając się na słów kilka — jakiż ja dzień pamiętny życia mojego jestem ci winną! O droga siostro moja. Jakżem ci wdzięczną! Gdy komu Bóg szczęścia nie dał... jakże słodko choć cieniem jego i widmem się pocieszyć...

I zaledwie na mgnienie jedno odwróciwszy wzrok od Jana wracała doń oczyma chciwemi... a drżąca jej ręka wyciągnęła się bezmyślna... mimowoli, by pogłaskać złote jego włosy... Ewunia siedząc z bólem patrzała na tę scenę, tak prawie poruszona, jak ex-wojewodzina.

— Ale któż byli twoi rodzice... poczęła pytać natarczywie ex-wojewodzina...

Janek wiedział, że nie wszystko mówić powinien, bo go Brzeski o to zaklął, gdy z nim się naradzał; nie chciał wszakże kłamać.

— Rodziców nie znałem — odezwał się. — Zostałem sierotą mając lat niespełna cztery.

— W tym wieku, gdy ja mego Jasia straciłam! — zawołała pani. — Mój Boże, w głowie mi się zawraca?

— A nie pamiętaszże nic, nic, z pierwszych dni twojego dzieciństwa?...

— Prawie nic — rzekł Janek — bo później oddano mnie do chaty wieśniaczej, gdzie się wychowałem po śmierci rodziców... Z lepszego bytu, z pierwszych lat, nie pozostało mi tylko jedno... prawdziwie dziecinne... wspomnienie, którego się wstydzę. Ja, co ani oblicza matki, ani twarzy ojca przypomnieć sobie nie mogę, pomnę czerwoną ze złotymi galonami sukienkę, z której gdy mnie.... rozbierano....

Ex-wojewodzina krzyknęła straszliwie, podniosła się i rzuciła na piersi Janka.

— Mój syn! moje dziecko... Cud Boga żywego! To on! on żyje...

Wszyscy jak piorunem rażeni, osłupieli, umilkli.... Janek nie wiedział co się z nim dzieje.

— Patrzcie... Łowczyno moja... to znamię mojego Jasia... to rysy wojewody.... i on pamięta czerwoną sukienkę... którą tak lubił. Ale jakaż tkwi w tem tajemnica?, któż mógł... Byćże to może... nie... to sen chyba od którego oszaleć można..

— Kochana pani moja — przerwała pisarzowa — na miłość Boga, uspokójcie się. Jest w tem tajemnica jakaś, która bądź co bądź do czasu przynajmniej zostać powinna dla wszystkich tajemnicą...

To mówiąc, surowem okiem powiodła pani pisarzowa po przytomnych.

— O tem, co tu zaszło, ani słowo jedno po za ściany tego domu, tej sali wyjść nie powinno...

— A tak! tak... któż wie — przerwała ex-wojewodzina — mogłoby jeszcze mu coś zagrażać. Gubię się w domysłach... Źli ludzie, co mnie uczynili nieszczęśliwą, mogliby jeszcze, chcąc zatrzeć ślady swego występku, czychać na dziecię moje...

Zwróciła się do Janka, który stał osłupiały i poruszony.

— A, ty jesteś mojem dziecięciem, nic, żadna siła w świecie odebrać mi ciebie nie może. Serce przeczuło nim wiedziało... Tyś mi zmartwychwstał... aby ostatek dni moich ozłocić, dziecko moje, dziecko moje!

Łzy szczęścia, któremi płakała biedna matka, były tak zaraźliwe, iż wszyscy z nią razem się rozpłakali, wszyscy szli ściskać rękę Leliwy... i czuli się z tego błogosławieństwa Bożego tak prawie szczęśliwi, jak ex-wojewodzina.

Można sobie wystawić zdziwienie sług, gdy przy stole ujrzeli te wszystkie twarze tak zmienione i zaczerwienione od płaczu oczy, a tak jasne i wesołe razem. Stary marszałek dworu nieustannie to na Janka patrzał, to na ex-wojewodzinę, to na

swoją panią, to na pannę Ewę, która promieniała w blasku szczęścia. Rozmowa obojętna nie kleiła się, jeść nikt nie chciał, nie wiedziano co mówić... obiad wydał się nieskończenie długim.

Ledwie go dokończono, ex wojewodzina prosiła o pozwolenie, ażeby do siebie odjechać mogła zabierając z sobą Janka, którego na chwilę puścić od swego boku nie chciała... Pisarzowa przystała na wszystko, ale wzięła na bok dawną przyjaciółkę, by z nią kilka słów pomówić.

— Droga moja — szepnęła jej — zaklinam cię — bądź nadzwyczaj oględną w postępowaniu.... Nie ma wątpliwości, że cud szczególny łaski Bożej wykrył niegodziwy występek, w którym Podskarbic mieć mógł jakiś udział. Rodzina jego jest znaczącą, ma ona stosunki rozległe, zechce ratować sławę jego i może się dopuścić... nawet gwałtu ... Dla własnego twojego i dla bezpieczeństwa dziecięcia, bądź rozważną... ja, jeźli chcesz, pojadę do króla, możemy tajemnicę powierzyć jemu i rady zasięgnąć.

— Nie lękaj się — cicho odpowiedziała płacząc ex-wojewodzina — jam gotowa pokryć wszystko i wszystko przebaczyć.... byle jego ocalić.... Nie mów nic królowi; Bóg, co uratował go, dozwoli mi go wyprowadzić z tych ciemności i zabezpieczyć od zamachów...

Pan Podskarbic wiedział od pierwszego dnia o przybyciu żony do Warszawy, stawił się zaraz u niej z rewerencyą, został przyjęty jak każdy inny gość, i od tego czasu miał sobie tylko za obowiązek codziennie odwiedzać żonę, ażeby świat i ludzie widzieli, iż stosunki pomiędzy nimi zerwane nie są. Drugiego też dnia po opisanej bytności u pani pisarzowej stawił się o swej godzinie Podskarbic, jak zwykle wielce wyświeżony, upudrowany, odmłodzony o tyle, ile sztuka ówczesna obrzydliwą ruinę uczynić mogła śmieszną.

W salonie zastał tylko starą Łowczynę, która zdawała się na niego oczekiwać. Bronisz, także, który towarzyszył pani do Warszawy, znalazł się zaraz wychodząc z drugiego pokoju.

— Pani trochę zajęta, ale wprędce służyć będzie — odezwała się stara rezydentka, dygnęła i odeszła. Marszałek dworu został sam z Podskarbicem, jak gdyby dla dotrzymania mu towarzystwa. Podskarbic wszakże wielce dumny, nie myślał się z nim wdawać w rozmowę, zwłaszcza, iż go antypatycznie cierpieć nie mógł, Bronisz mimo to, pociągając pasa i zacierając czupryny, stał i chrząkał, pozywając do rozmowy i świadcząc, że do niej był gotowy.

— Jaśnie wielmożna pani — rzekł w końcu pocichu — od wczorajszego dnia wielce wzruszona!

— Hm? wzruszon, wzruszona? — spytał nie patrząc na niego Podskarbic, który wygodnie się w fotelu wyciągał i na nogi miał wzrok zwrócony, znajdując, że się na jego wiek wcale pięknie prezentowały. — Wzruszona? Cóż? doktorzy nastraszyli....

— Nie.... ale taki dziwny wypadek....

— Wypadek? jakiż wypadek? mieliście wypadek... To pewno z końmi — obojętnie począł Podskarbic — a któż widział wiejskie konie płochliwe brać do miasta...

— Nie z końmi był wypadek, ale...

— No, to cóż? dla czego waćpan mówisz tak półgębkiem... czy to ja baba jestem?

— Całą gębą nie śmiem — rzekł Bronisz...

Ton, jakim te wyrazy były wypowiedziane, uderzył pana Podskarbica; podniósł oczy, Bronisz miał minę drwiącą; to go oburzyło. Groźno spojrzał nań.

— Mów waćpan, a nie zapominaj, że jesteś sługą.

— Przepraszam J. W. pana, jestem sługą, lecz tylko mojej pani....

— Idźże precz! za drzwi! — zawołał ręką wskazując mu wyjście Podskarbic — rozumiesz?

— Pani mi tu stać kazała.

— No, to chyba życzy sobie, ażebym ja ztąd wyszedł i uwolnił ją od moich odwiedzin.

— A! bynajmniej, bynajmniej — począł Bronisz — bo nawet dziś ma bardzo ważny interes do J. W. pana....

Podskarbic popatrzył nań.

— Uczyńże mi tę łaskę — odezwał się ironicznie — i racz mi powiedzieć jasno, do czego krętemi tak idziesz drogami?

— Wypadek w istocie osobliwszy — rzekł Bronisz pozornie bardzo obojętnym tonem. —

Kilkanaście lat temu, pani raz na drodze pod Krakowem spotkała chłopaka, tak nadzwyczaj podobnego...

— Słyszałem o tem! słyszałem! — gwałtownie wybuchnął Podskarbic — cóż dalej? co za związek....

— Otóż to właśnie wczoraj w Warszawie u pani pisarzowej znowu przypadkiem osobliwym się z nim zjechała...

Podskarbic pobladł, buta go zupełnie opuściła, począł się oglądać dokoła, jakby szukał drogi do ucieczki, a udawał, że się uśmiecha...

— I cóż tedy? spytał jąkając się.

— Proszę J. W. pana, tak osobliwego podobieństwa, jak tego chłopca do nieboszczyka wojewody, wystawić sobie trudno... W dodatku to znamię pod uchem, które miał wojewoda i które zmarły zawcześnie synek wziął po nim.

Podskarbic szukał krzesła i zsunął się na nie.

— To się trafia... hm... — począł niewyraźnie — może to naturalne dziecię jego... Wszystko być może..

— Zapewne, że to być mogło — odparł Bronisz — ale za pierwszem spotkaniem, gdy się zrodziła jakaś wątpliwość o to dziecię, bo i wiek jego dziwnie się schodzi ze zmarłym synkiem J. W. pani, przyznaję się J. W. panu, gdyśmy powrócili do domu, tak byłem jakoś dręczony niepewnością, czy się co nie stało... bez wiedzy państwa... jakaś niegodziwość, że poszedłem z proboszczem do grobu i zrewidowałem trumienkę Jasia... a w niej, jak świadczy... oto ten protokół, znalazły się tylko kamienie... Ślad to więc zbrodni..

Podskarbic siedział ale tknięty paraliżem i bez mowy. Oczy miał obrócone w słup, połowa twarzy nie poruszała się wcale, pół ciała było bez władzy. Bronisz spostrzegł to i krzyknął o ratunek. Ledwie się natychmiast zbiegli, konnego wyprawiono w czwał po lekarza. Nadeszła pani Łowczyna, cały dwór, natychmiast dobyło, co było flaszek, kordiałów, smarowań w apteczce podróżnej. Wszystkie te środki jednak okazały się bezskutecznymi.... Przybyły w pół godziny Lafontaine i Ertel natychmiast krew obficie puścić kazali i chorego na łóżko przenieśli. Uderzenie było wprawdzie bardzo silne, lecz życiu na ten raz jeszcze nie zdawało się zagrażać, można się nawet spodziewać było, że mowę i władzę zwolna odzyskać potrafi.

Wypadek ten niespodziany, którego przyczyny Bronisz przed nikim wyjawić nie potrzebował, powstrzymał naturalnie wykonanie wszystkich projektów ex-wojewodzinej i wyjazd jej do wód. Musiała czekać wyzdrowienia męża.

Część mieszkania odstąpiwszy dla niego, gdyż chory przenoszonym być nie mógł w tym stanie w jakim się znajdował, część jeszcze oddała Janowi, którego przy sobie mieć chciała koniecznie.

Powrót do zdrowia pana Podskarbica byl bardzo powolny, a nawet z wracającą mową i władzą, przy osłabieniu jego, niebezpiecznem było o przedmiot drażliwy w rozmowie zaczepić. Sam wreszcie chory zażądał widzieć się z żoną i prosił, aby się Łowczyna, przybyła z nią, oddaliła.

— Pozwolisz mi kilka słów powiedzieć w bardzo ważnym przedmiocie — odezwał się obłąkanemi oczyma rzucając dokoła. — Słyszałem, że pani znalazłaś dziecko... chłopca.... bardzo podobnego do nieboszczyka wojewody, którebyś zapewne sobie życzyła.... adoptować.

Otóż jeśli w istocie masz tę myśl, ponieważ nie mamy własnych dzieci, chciałem uprzedzić, że ja.... że co się tyczy mnie, zgadzam się na nią i wspólnie z panią chłopca tego adoptować będę.

Ex wojewodzina, która się wcale nie spodziewala tak łatwego i szczęśliwego rozwiązania, zdumiona, ze łzami w oczach odpowiedziała:

— Niech ci Bóg to zapłaci.

— Nie ma za co — krzywiąc usta rzekł chory — jeden tylko stawię warunek: ażebym w ten sposób.... raz.... dając dowód bezinteresowności dobrej woli, od głupich podejrzeń był wolny....

Chwilę głosu mu zabrakło.

— Ja tam nie wiem nic, może być, że głupia gorliwość sług, że tam jakaś intryga, że tam coś było, ale ja o tem nie wiem.... ja nie wiem, ja nie mogłem wiedzieć. Pani to sama miarkujesz.... iż mąż waćpani, że potomek takiego rodu i domu.... nie mógł w takie brudy rąk umaczać... to oczywista...

— Ale bądź spokojny — przerwała ex-wojewodzina — nie mam najmniejszego podejrzenia.... wszystko okryte jest największą tajemnicą.

— A żeby ten głupi Bronisz, imaginatyk, bo to człowiek bez mózgu, przywiduje mu się nie wiedzieć co! żeby nie plótł andronów, zamalować mu tę gębę.... bo to gęba paskudna....

— Bronisz stary sługa domu i pewnie nic... coby nas pokrzywdzić mogło, rozgłaszać nie będzie....

— Dać mu tam na dzierzawę, czy dożywocie, czy tam co.... a niech nie bluzga, niech milczy.... — dodał Podskarbic — człowiek niespokojny, gotów grzebać się w grobach. Co to jest! co to jest!

Widząc go mocno wzruszonym, ex-wojewodzina starała się ukoić.

— Proszę cię, nie myśl już o tem....

— Nie będę myślał, każ pani akt urzędowy sporządzić, i niech go król J. Mość potwierdzi... Wszak to wiele czasu nie zabierze, żebym raz mógł być spokojnym, bardzo proszę.

Rozmowa była skończona; żona wstała i pocałowawszy go w ramię, nie mówiąc słowa odeszła. Tejże chwili wysłano do prawnika, aby akt sporządził, a ex-wojewodzina kartką oznajmiła pani pisarzowej o swem szczęściu.

Wypowiedzenie tych kilku słów, które nosił znać długo na sumieniu, do tyla uspokoiło chorego, że gdy po południu po raz już piąty czy szósty zameldowano mu odwiedziny hrabiny Estelli, której wprzódy nie przyjmował, kazał ją do siebie wpuścić.

Dawna przyjaciółka, która zjeżdżała tylko dla ceremonii i grzeczności, a nie spodziewała się wcale tej łaski, gdy jej zapowiedziono, że Podskarbic prosi, zdziwiła się, a nawet skrzywiła trochę, lecz musiała wysiąść. Nie lubiła ona ani widoku nieboszczyków, ani chorych, obawiając się równie śmierci i choroby. Była też najpewniejszą, że paraliż może być zaraźliwy, i dla bezpieczeństwa chustką zlaną woniami osłoniła usta....

Podskarbic siedział ubrany na łóżku, tylko miasto peruki na głowie, miał biały czepek związany zieloną szeroką wstążką, który go czynił podobniejszym do starej baby, niż do chorego mężczyzny.

— No, widzisz kochana hrabino? odezwał się słabym głosem — co się to ze mną stało? — Czy ja jeszcze przyjdę do siebie tak, żebym mógł zjeść śniadanie z kasztelanem?

Roześmiał się, hrabina zbladła, nie śmiała się odezwać, kasztelan bowiem przed tygodniem zjadł ostatnie śniadanie.

— Ale, to przejdzie! to przejdzie! — rzekła hrabina — nie wyglądasz nawet tak bardzo źle; tylko się nie trwoż lada czem.

— Wiesz — szepnął, schylając się ku niej — kuso było, bardzo kuso koło mnie... Musiałem adoptować!

— Kogo?

— Hm... tego.... wiesz.... Znaleźli bestye... nie było sposobu.... chodzili po świadectwo na mnie do trumny....

— To okropne...

— Tak, to okropne — westchnął Podskarbic — ale to tak głupi świat; ludziom jak ja, nigdy się nie szczęści, nadto byłem dobry!...

Znać najmocniejsze miał przekonanie, iż prawdę powiedział, potwierdził ją bowiem jeszcze jednem westchnieniem.

Ale mniejsza o to — dodał -- niech sobie już tak będzie; dzieci nie mam, niech go adoptują, co mi tam. Ja sobie wrócę do Krakowa, pensyę mi dać muszą.

— Ty zostaniesz u nas w Warszawie — rzekła hrabina.

— A któż tam bank ciągnie? — spytał żałośnie.

— I, bez ciebie gry prawie nie ma — pocieszać zaczęła przyjaciółka — bardzo mała...

— Mnie się zdaje, że ja za tydzień będę mógł! tylko mi lewa ręka czasem drętwieje... ale to brak ruchu — rzekł Podskarbic — to przejdzie.

— To musi przejść! — pospiesznie dodała hrabina, która wcale nie wierzyła, żeby bank już kiedy mógł ciągnąć jej przyjaciel i pragnęła tylko co najprędzej wynieść się z zatęchłej izdebki chorego. On zaś chciał ją zatrzymać, aby się uskarżyć i wyżebrać nieco pociechy.

— Im prędzej radbyś wstać i być zdrowym, tem teraz powinieneś się więcej szanować. Nie męcz się rozmową, słuchaj doktora, nie gryź tym wypadkiem, bo to już nic nie pomoże, a wszystko będzie dobrze.

Biedny pan Podskarbic uśmiechnął się.

— Chciałbym jeszcze pożyć trochę — rzekł

cicho — jeszcze mi się nie chce umierać.

— Ale któż tam o tak brzydkich mówi rzeczach! — zaśmiała się hrabina. Do widzenia! do widzenia!

I wysunęła się jak mogła najprędzej, zatykając nos i usta, żeby się paraliżem nie zarazić!

(Dokończenie nastąpi.)

ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

zupełnie nowo i treściwie ułożony.

(Dokończenie.)

XXII.

Podług swego zwyczaju wyszedł Robinson pewnego dnia na wzgórze zkąd widok na morze w około daleko rozciągał się — i przez perspektywę czyli dalekowidz patrzał, czy nie ma w blizkości wyspy, jakiego okrętu, lub jak w obecnym razie, czy jego towarzysze nie powracają. — Już miał zakończyć swoje obserwacye, gdy w oddaleniu wielkiem dojrzał jakąś łódź zbliżającą się do jego wyspy. Piątaszek który gołem okiem lepiej widział jak Robinson przez dalekowidz, schwycił się za głowę i rzekł: „to nie są moi krajowcy.“ Łódź zbliżała się szybko i wreszcie Robinson wyraźnie mógł rozróżnić twarze obcych mu osób cery białej, zapewne Europejczyków. — Spostrzegacze nasi rzucili dalej oczyma i dostrzegli w odległości jednej mili okręt na kotwicy osiadły. — Strach i radość mijały się w duszy Robinsona, radość wynikła z zobaczenia okrętu, — strach, gdyż nie mógł domyśleć się, co za powód ci ludzie mieć mogli, do wylądowywania na jego wyspę.

Stanęli przeto swoim zwyczajem za krzakami i drzewami, aby niedostrzeżeni mogli widzieć co się dalej stanie, i obserwować wszystkie ruchy nowych przybyszów. — Naliczyli oni jedenaście osób na łodzi, którzy o ćwierć mili od nich do brzegu przybili i wysiedli. Ośmiu z nich było uzbrojonych, trzech pozostałych bez broni. — Ci trzej ostatni mieli związane w tył ręce, a kiedy ich na ląd wyprowadzono, zostali z więzów oswobodzonymi i wtedy ci nieszczęśliwi wznosili błagalnie ręce w górę i zdawali się kornie Niebo o pomoc i ratunek wzywać.

Niezadługo zauważył Robinson, że ci trzej zostali w miejscu, a reszta zaś udała się do lasu i zginęła w gęstwinach.

Robinson przystąpił do nieszczęśliwych, a widząc, że jego widok jeszcze więcej przeraził ich, przemówił do nich następującemi słowy: „Nie obawiajcie się, powiedźcie tylko, coście za jedni i co was spotkało.”? — Usłyszawszy te przyjazne zrozumiałem językiem dla nich wymówione wyrazy, ochłonęli ze strachu, który ich był ogarnął, i jeden z nich odpowiedział: „Je-

stem kapitanem okrętu, który do państwa Holandyi należy. Ten mówił dalej, wzkazując na obok stojącego, był moim sternikiem, a tamten wskazując na trzeciego, podróżnym. Moi majtkowie podnieśli bunt przeciwko mnie i okręt mój zabrali. — Oni chcieli mnie wraz z tymi dwoma bez litości zamordować, zaniechali jednak tego czynu i darowali nam życie, ale natomiast zostawiają nas na tej pustej wyspie, abyśmy z głodu i pragnienia powolną śmierć ponieśli," — Robinson na to odpowiedział: „Jeżeli wypełnicie mi następujące dwa warunki, wtedy aby was uratować poświęcę wszystką krew i życie, — a te są: Przez czas waszego pobytu na tej wyspie będziecie mi posłuszni i wierni, nadto, jeżeli uda się nam zwalczyć waszych nieprzyjaciół, i otrzymać na powrót okręt, — natenczas zabierzecie mnie z sobą do Holandyi, i odwieziecie mnie do mojej ojczyzny." Kapitan na to odrzekł z rozczuleniem: „Cały okręt i wszystko co się na nim znajduje i my sami jesteśmy na twoje rozkazy."

Piątaszek otrzymał w tej chwili rozkaz, aby fuzye, pistolety, pałasze i proch przyniósł. — Robinson rozdał im broń i dał znak aby cicho postępowali za nim.

Niezadługo spostrzegł wszystkich ośmiu idących do brzegu, zbliżywszy się na niewielką odległość do nich, wypadł z tyłu ze swoimi uzbrojonymi niespodzianie i nim zdołali przyjść do siebie, już sześciu leżało na ziemi związanych.

Dwóch tylko pozostałych odskoczyło na bok, biorąc się do obrony — ale widząc bezskuteczność swych usiłowań, prosili o pardon. — Tych kazał Robinson także związać, i wszystkich odprowadzić do jaskini, która im za więzienie służyła.

Wróciwszy bojownicy nasi na brzeg, wyciągnęli za pomocą ściętego drzewa łódź na brzeg, i zrobili w jej dnie dziurę, która jednak z łatwością mogła być znów załataną. Wszystko to uczynił Robinson przy pomocy towarzyszy dla tego, aby ludzie z okrętu nie mogąc się doczekać swych wysłanych, widząc łódź na brzegu, przysłali drugą. — Projekt udał się wybornie. W trzy godziny niespełna, dał się słyszeć głos armatni, zwołujący znajdujących się na wyspie majtków; ale kiedy to nic nie pomogło, — spuścili drugą łódź z okrętu, która zbliżała się do wyspy.

Robinson udał się ze swoimi na zwykłe swe stanowisko, ukrył wszystkich po za drzewa i krzaki, i tak zaczajony — czekał. — Łódź przybiła. — Z zadziwieniem zobaczyli przybyli pierwszą łódkę przedziurawioną, rozglądali się na wszystkie strony, i poczęli wołać na nieobecnych towarzyszy po imieniu; ale nikt się nie odezwał. — Nowo przybyłych było dziesięciu, wszyscy dobrze uzbrojeni.

Nie przestawali oni wołać, w nadziei jak sądzili, że ich zbłąkani towarzysze w ten sposób odszukanymi zostaną.

Poznawszy jednak, że to wszystko nadaremnie, — zmęczeni ciągłem szukaniem do samego wieczora, pomyśleli przeto przy nadchodzącem zmroku o własnem bezpieczeństwie; — wsiedli więc dla tego na łódź, a odbiwszy około sto kroków od lądu, zarzucili kotwicę, nieprzestając wciąż wołać, — należało przewidywać, że oni w krótkim czasie będą nazad powracać do okrętu, a wtedy byłoby wszystko stracone. Lecz Robinson wpadł tymczasem na nowy pomysł. — Słysząc on od kapitana, że między uwięzionymi jest trzech dobrych i zawsze wiernością odznaczających się ludzi, którzy tylko z bojaźni przystali do buntu rokoszanów, — po tychże posłał Piątaszka ze sternikiem z poleceniem, aby jak można najprędzej onych tutaj przyprowadzili. — Niezadługo przybyli, — a na zapytanie kapitana czy będą mu wiernymi jeżeli on im wszystko złe przebaczy; „do śmierci" odpowiedzieli bez żadnego namysłu, drząc na całem ciele.

Natychmiast kazał Robinson Piątaszkowi z jednem z trzech uwolnionych majtków, skryć się w krzaki, i wołającym dać odpowiedź. — Wybieg udał się.

Ci bowiem usłyszawszy odpowiedź, zaraz zbliżyli się do brzegu, wysiedli, a zostawiając dwóch przy łodzi, aby się nie zbłąkać, poustawiali siebie co kilkadziesiąt kroków jeden od drugiego, dając sobie ciągłe hasła, szukając przytem zgubionych. Podczas tego nastała zupełna ciemność. Robinson podszedł cichutko pod pilnujących łódź, — nie postrzeżony od nich.

Raptem naraz przyskoczył z dobytem pałaszem, wołając przytem i grożąc śmiercią jeżeli się natychmiast nie poddadzą. Tak niespodzianie napadnięci ci dwaj majtkowie na łodzi, rzucili swą broń prosząc o pardon, a na skinie-

nie Robinsona przyskoczyło z ukrycia jeszcze dwóch z jego strony ludzi, i powiązali w okamgnieniu ręce więźniom.

Dokonawszy tego czynu, wyciągnięto łódź na brzeg o ile możności jak najdalej, aby przez to reszcie po wyspie rozbiegłym, odwrót przeciąć.

Niezadługo powrócili po bezskutecznem poszukiwaniu pozostali majtkowie, okryci potem, i zmęczeni do upadłego.

Robinson wysłał jednego z uwolnionych majtków do przybywających z rozkazem, aby się dobrowolnie poddali salwując im życie, — jeżeli nie, to zmuszonym będzie komendant tej wyspy 50 ludzi zakomenderować dla rozstrzelania wszystkich. — Łódź ich jest już zabraną, a dwaj towarzysze z tejże wzięci są w niewolę. — Nie było co robić w takim razie, a wybierając z dwojga złego, woleli raczej niewolę przyjąć, jak śmierć. Poddali się wszyscy bez wyjątku, złożyli zaraz swą broń, a powiązanych odprowadzono do więzienia.

Kapitan i Robinson zdołali przemową swą niektórych uwięzionych buntowników skruszyć i na swoją stronę przeciągnąć, przebaczając nawzajem wszelką winę. — Cieśla okrętowy wziął się zaraz do naprawy przedziurawionej łodzi.

Wkrótce zostały obydwie na wodę spuszczone, a przyjaźni towarzysze podzieleni i w broń opatrzeni. — Jedną łodzią sternik, drugą zaś sam kapitan kierował, i dowodził. Podczas gdy Robinson dawał kapitanowi dalsze instrukcye dla zachowania się, uściskawszy go, życzył szczęśliwego powodzenia, a ten nawzajem podziękowaniem i wyrazami wzajemności Robinsona obsypywał; rozpięto żagle, wiosła uderzyły, i łodzie szybko pomknęły morzem ku okrętowi.

XXIII.

Nazajutrz zaledwie się rozedniało, usłyszał Robinson huk trzech armatnich strzałów, jeden po drugim. To był umówiony znak, oznaczający, że okręt odebrany został zbuntowanym, co wkrótce sam kapitan powracający na wyspę potwierdził, oznajmując, że okręt wzięty został bez rozlewu krwi, i wszyscy buntowniki którzy w uporze swoim pozostać chcieli, przemocą pojmani.

Radość kapitana była nie do opisania, a wyrazy wdzięczności i podziękowania wyrównywające jej. „Jesteś, mówił on do Robinsona, szlachetnym człowiekiem, tyś wyratował mi życie i okręt, — do ciebie więc wszystko należy. Cała załoga okrętu czeka twoich rozkazów, rób z nami co ci się podoba."

Robinson odpowiedział: „Dla mnie jest dostatecznem zadowoleniem widzieć ciebie kapitanie uradowanym, i mieć sposobność wyratowania się z nieszczęścia."

Ale mam jeszcze trzy prośby, pierwszą abyś mógł zatrzymać się tak długo, dopóki nie powróci ojciec mojego najwierniejszego Piątaszka i Hiszpan od dzikich na tej wyspie uratowany, którzy popłynęli po resztę swych pozostałych towarzyszy; drugą że tak mnie i moich domowników z sobą do Europy zabierzesz, — w końcu proszę, abyś wszystkich którzy się stali tobie nieposłusznymi i godzili na twój majątek i życie, śmiercią nie ukarał, lecz za karę zechcesz ich zostawić tutaj na mojej wyspie, gdyż jestem przekonany, że to będzie dla nich najlepszy sposób poprawienia się i pozbycia wszelkiego złego, jakie jeszcze w nich pozostaje.

Kapitan z rozrzewnieniem słuchał, w końcu przyrzekł i zapewnił, że wszystko wiernie spełni co do joty. — Kazał zaraz zawołać wszystkich uwięzionych, i objawił im uwolnienie od śmierci, a kara jaka została naznaczoną wskazując na Robinsona dodał, — iż to wola i sąd jego jest, że zostaną mieszkańcami jego wyspy, inaczej obszedłby się z nimi w sposób na jaki zasłużyli, i że jemu tylko mają do zawdzięczenia swoje ocalenie.

Wszyscy uwięzieni zostali niewymownie uradowani takim obrotem sprawy, albowiem wiedzieli dobrze, że inaczej, jak śmiercią nie powinni karanymi być. Robinson dawał im rady, i naukę jak mają żyć na tej wyspie, jak gospodarstwo prowadzić, i jak się mają tem gospodarstwem na którem on przez tyle lat pracował, zarządzać.

Podczas tej rozmowy przyszedł Piątaszek z pocieszającą wiadomością, że ojciec jego i Hiszpan wraz z nowem towarzystwem powrócili. Robinson z zadziwieniem dostrzegł, że między przybyłymi prócz jeszcze jednego Hiszpana, przybyły także dwie kobiety. Były to rodaczki Piątaszka, a nateraz żony dwóch Hiszpanów, którzy gdy się dowiedzieli że Robinson oddala się

z wyspy i zostawia majtków, poczęli usilnie nalegać, aby pozwolili im zostać z swemi żonami — gdyż oni nie życzą sobie nic więcej jak tylko to co na tej wyspie mieć mogą.

Robinson wysłuchał tej prośby — i zezwolił na nią z wdzięcznością.

Zwołał wszystkich, którzy tylko pozostać mieli i objawił im swoją wolę. — Było wszystkich sześciu majtków — i dwóch Hiszpanów z żonami. — Robinson mówił do nich donośnym głosem:

Cała wyspa ze wszystkiem co się na niej znajduje — jest moją; i sądzę — że nikt z was nie zaprzeczy prawa własności do tejże. — Mojem całem życzeniem jest, aby się wam wszystkim, którzy tu zostajecie jak najlepiej powodziło.

W jaki sposób macie się tu zagospodarować? widzicie z tego co wam zostawiam — byłoby to moim życzeniem, abyście w wskazanym przezemnie porządku dalej postępowali — i mam to przekonanie, że będziecie mi posłuszni.

Na przyszłość rozporządzam, aby ci dwaj Hiszpanie w moje miejsce zastępcami i rządcami całej osady zostali — i mianuję ich nieograniczonymi panami tej całej wyspy. — Wszelkie posłuszeństwo i poszanowanie onym jedynie każdy mieszkaniec bez granić wyświadczać winien, oni wszelkie rozstrzygać spory mają, i cały zarząd wewnętrzny odtąd prowadzić będą. Rezydencyę w mojej twierdzy ci dwaj mieć będą i u nich w twierdzy arsenał, czyli wszystka broń palna i sieczna, tudzież amunicya, to jest proch, kule i szrót jak nareszcie wszelkie narzędzia złożone będą; ale będzie zarazem ich obowiązkiem według potrzeby każdemu takowe wypożyczyć, jednak pod tym jedynym warunkiem, jeżeli się w zgodzie i spokojnie zachowywać będziecie. — Po skończonym użytku każda rzecz bądź broń, bądź narzędzie do magazynu nazad w takim stanie w jakim była odebrana, nazad zwrócić się musi. Jeżeli się jakie niebezpieczeństwo zdarzy, — wtedy na czele rządcy wszyscy jak jeden do obronienia wyspy stanąć powinni. — Wszystkie roboty w w polu lub ogrodzie wspólnie przez wszystkich wypełnione być mają, a zebrane żniwo natomiast zawsze należycie rozdzielone być musi. Zaręczam wam, że znajdę spsobność, nietylko o waszem zachowaniu dowiedzieć się, ale jeżeli Stwórca wszechmocny łaskawie dozwoli, — z czasem i przekonać się o wszystkich powodzeniu, ja się sam jeszcze raz odważę osobiście tu na wyspie was odwiedzić: Biada takiemu wtedy, któryby się poważył moje zarządzenia zmienić lub unieważnić! — taki bez żadnego miłosierdzia zostanie do deski przywiązany, i podczas burzy na morze puszczony.

Wszyscy okazali jednozgodnie swoje zadowolenie, — i przyrzekli uroczyście wszystkim danym rozporządzeniom Robinsona posłuszeństwo i uszanowanie zachować.

Teraz dopiero począł Robinson przygotowania robić do podróży. — Zrobił jeszcze ostatnią odezwę do wszystkich — że każdy który do swej ojczyzny wrócić sobie życzy, aby się wyraźnie oświadczył — lecz żaden nie chciał to przyjemne siedlisko opuścić. Zebrał następnie wszystkie rzeczy, które umyślił z sobą wziąść, jako to: ubranie ze skórek lamich przez samego niego sporządzone, także parasolik i maskę — dalej wszystkie przez siebie zrobione narzędzia i sprzęty, między innemi lancę z ości rybiej i siekierę kamienną, wreszcie swą papugę, pudła i dwie lamy — naostatek zaś z rozbitego okrętu jak się z wynalezionych papierów wykazało — skrzynkę z bryłkami złota i dyamentami, które do kupca z Amsterdamu należały — i bryłę złota znalezioną przez Robinsona przy kopaniu pieca.

Kiedy to wszystko zostało na okręt przeniesione i wiatr był pomyślny, postanowiono następnego dnia odpłynąć. — Robinson z Piątaszkiem, chcąc użyć korzystnie zbywający czas, umyśleli kapitanowi okrętu i pozostałym wyspiarzom ucztę pożegnalną wyprawić. Wszystko co najlepszego mieli, postawili na stół, a potrawy były tak dobrze przyrządzone i smaczne, że kapitan i ludzie jego nie mogli się nadziwić zręczności i umiejętności kucharskiej obydwóch.

Wieczorem odłączył się Robinson od towarzystwa i udał się na szczyt góry — aby jeszcze raz w pamięci nad wszystkiemi zdarzeniami przeżytemi na tej wyspie rozważył, i swe serce przepełnione w pokornej dziękczynności Bogu wynurzył. Z radością i wewnętrznem zadowoleniem wspomniał na wszystkie przyjemne godziny i chwile, które go tu spotkały. Z boleścią i żalem przypomniał sobie na gorzkie dnie które doświadczał. Rozpłakał się rzewnie łzami radości, gdy na swą ojczy-

znę wspomniał, lecz smutek opanował jego twarz, jak rozważył, że tę wyspę, na której tak wiele lat przeżył, i onę jak drugą ojczyznę ukochał, teraz może na zawsze opuścić musi. Z zapłakanemi oczami powrócił nazad do towarzystwa, i napominał z całem wylaniem serca po raz ostatni do zgody, pracy i pobożności, polecając ich rzewną modlitwą Bozkiej Opatrzności, od której on tak cudownie utrzymany i kierowany był.

Nadeszła wreszcie chwila odjazdu — ze łzami w oczach żegnał się Robinson z tymi, którzy mieli pozostać i ściskał z uczuciem braterskim każdego po szczególe, życząc wszystkiego dobrego, polecając Bogu i jego Opatrzności. Rzucił jeszcze raz oczy po całej okolicy, — i w milczeniu uroczystem podążał wraz z Piątaszkiem swym nierozłączonym i najwierniejszym towarzyszem i Czwartaszkiem ojcem jego ku okrętowi. Cała kolonia odprowadziła onych do samego brzegu.

Wiatr wiał tak pomyślnie — że się Robinsonowi zdawało, jakby wyspa od nich odbiegała. Jak długo tylko widzić się dawała, stał Robinson smutnie i nieporuszenie na pokładzie okrętu, oczy swe ku wyspie mając zwrócone. Gdy jednak już i ostatni wierzchołek góry znikł — spojrzał wdzięcznie w niebo, i udał się dopiero do kajuty kapitana, aby swemu żalem przepełnionemu sercu ulżyć. Piątasek nie mógł łzy radości w oczach wstrzymać od szczęścia, że swemu panu towarzyszyć może.

XXIV.

Podróż była bardzo szczęśliwa, — w sześć tygodni od wyjazdu, dobili do Amsterdamu. Podczas podróży tylko jedno zdarzenie smutne naszych wyspiarzy spotkało, a to tem boleśniejsze dla Piątaszka, że ojciec jego Czwartaszek mimo najtroskliwszej opieki nagle zachorowawszy umarł. Niemniej obiedwie lamy nie mogły przenieść morskiej choroby, i nieżywe zostały wrzucone do morza. — W Amsterdamie odszukał Robinson ową familię nieszczęśliwego kupca, któremu okręt zaginął, a on sam między dzikimi życie postradał, tejże oddał wyratowane z okrętu złoto i dyamenty, i podźwignął z upadku ten dom, który z przyczyny tej straty, ostatniej nędzy i ubóztwie był oddany.

Piątaszek chodził po ulicach miasta jak obłąkany, z niemem zadziwieniem patrzał na te wszystkie cuda, jemu wcale nieznane. Z jednego podziwu wpadał w drugi, i trudno było mu na te wszystkie przedmioty onego otaczające, dać zrozumiałe objaśnienia.

Teraz dopiero był czas miejsce rodzicielskie zwiedzić, gdzie się natychmiast udał. — Gdy już w obręb miasta rodzinnego wstępował, nie mógł być panem samego siebie, — miotany uczuciem niewysłowionem, padł na twarz, całując z wdzięcznością rodzinną ziemię i dziękując gorąco Najwyższemu Stwórcy, ze mu użyczył tego szczęścia, do swej ojczyzny jeszcze raz powrócić. Tu też dowiedział się, że ojciec jego jeszcze przy życiu zostaje, lecz matka już w grobie spoczywa.

Spotkanie się syna z ojcem po 12 letniem niewidzeniu, zostawiam wam szanowni czytelnicy do określenia, a raczej do wystawienia sobie tylko w określeniu, gdyż podobne chwile — uczuć tylko można, — powtórzyć zaś bez uczynienia uszczerbku prawdzie, niepodobna.

Uciechy i przywitanie ojca z synem już dawno za straconego mianego, nie są żadnem piórem do opisania.

Wiadomość o przybyciu Robinsona obiegła niesłychanie prędko po całem mieście. — O niczem nie mówiono tylko o nim i jego przypadkach. Każdy chciał go widzieć, aby z jego własnych ust historyą życia jego i zdarzenia tak nadzwyczaj ciekawe mógł słyszeć. Nauczony potrzebą wszystko przez siebie zrobić, przyzwyczajony do ciągłego zatrudnienia, prosił ojca swego aby mu pozwolił być rękodzielnikiem, i obrał sobie rzemiosło stolarskie. Ojciec w tym względzie dał mu zupełnie wolną wolę.

Udał się więc do znanego i biegłego stolarza, i razem z Piątaszkiem do roku tak wielkiej zręczności w tym rzemiośle nabrali, że sami doskonałymi stolarzami zostali. — Oba zostali nierozłączonymi przyjaciołmi, i wspólnie razem nietylko w mieście rodzinnem, lecz nadto daleko na okolice najsławniejszymi majstrami uznani byli. Oba byli tak pilni i trzeźwi jak wprzód, nie było przykładu aby pół dnia bezczynnie strawić, lub też w zbytku jakim wytrzymać mogli. Braterska zgoda, zniesienie błędów współbliźnich, usłużność, i miłość każdego była ich zwyczajną cnotą; nie mogli oni pojąć,

aby inaczej można żyć szczęśliwie, i nie było podobnego przykładu drugiego, aby tak długo jak obadwaj aż do sędziwego wieku dożywszy, od każdego zawzór i przykład pracy, pilności, trzeźwości miani byli. — Koroną cnót wszystkich było zaś czyste sumienie. Serce ich i ręce zawsze gotowe nieść pomoc drugim; dla tego niebo widocznie wszystkim zadrudnieniom im widocznie pomagało, albowiem dożyli w ciągłem zdrowiu i wielkiem poważaniu aż do wysokiej starości, nie zakłóciło im żadne nieszczęście pokoju, dorobili się znacznego majątku, i najpóźniejsze pokolenia czcić będą pamięć dwóch mężów, którzy swym przykładem pokazali, jak to postępować i czynić wypada, aby na tym świecie spokojnym i szczęśliwym, w niebie za wiecznie być nagrodzony.

KONIEC.

GAWĘDZIARZ.

CZARTOWA.

Podanie ludowe.

Gdzieś tam nad Wisłą, leży mała wioska Czartową zwana. Różne są pomiędzy ludźmi gadki o powstaniu tej nazwy, a najpewniejsza z nich jest podobno następująca:

Ma już być temu dawno, jak pewnego dnia w zimie przydybano w poblizkiem tej wioski miasteczku chłopca małego na ulicy drzącego od zimna. Był to chudy biedak, wyschnięty jak szczepa od głodu i nędzy, w jednej koszuli, stojący na wietrze i mrozie. Nieborak tak zanosił się od płaczu, że choćbyś był z kamienia, to byś się musiał nad nim ulitować. Zbiegło się więc ludzi niemało; i jakaś litościwa kobieta wziąwszy chłopca na ręce, otuliła jak mogla w swoją ciepłą chustkę i zaniosła do domu. Jak to zwykle bywa, przybyły zaraz do niej kumoszki i znajome, zaczęły radzić z największą ciekawością, czyjeby to było tak na mrozie opuszczone dziecko. Gdy się chłopiec w ciepłej izbie ogrzał i posilił gorącem mlekiem z bułką, poczęto go się pytać:

„Jak się twój ojciec nazywa?

„Czart", odpowiedział chłopczyna.

„A twoją matkę jak zowią?"

„Czart."

„A zkądżeś ty jest?"

"Z czartowskiego gniazda, jak mówią tatuś i matusia."

Zdumieli się wszyscy na takie odpowiedzi chłopca, nikt jednak nie mógł tego zrozumieć, i ani też dowiedzieć się, do kogoby chłopiec należał.

Wtem jakiś inny człowiek nadszedł z ulicy. Ten ujrzawszy chłopca, poznał go zaraz, i powiedział, że to synek gospodarza z wioski, co się tu jakimś trafem zabłąkać musiał. Najprawdopodobniej, że chłopiec naparł się jechać z rodzicami do miasta, a ci zalawszy sobie głowy gorzałką, jak to było ich zwyczajem, zapomnieli chłopca i odjechali. A gdy mu opowiedziano jaka była dziwna rozmowa z tem dzieckiem, dopiero on rzekł na to:

„No, patrzcie moi ludkowie, na co się to człowiek naraża kiedy przed własnem dzieckiem nie umie języka trzymać za zębami, kiedy plecie w grzesznej nieuwadze co mu ślina do gęby przyniesie. Rodzice tego chłopca, których znam doskonale,. niezgodni i kłótliwi, w ciągłej są ze sobą kłótni i swarach. Jeżeli mąż podchmielony wejdzie do izby, tak zaraz żona, która ze sąsiadką także sobie dobrze podpiła, zacznie go witać.

„Aha", zawoła, „o! moje nieszczęście jakżeś się zdoił przeklęty czarcie!"

Na co jej mąż grożąc pięścią, zwykł odpowiadać:

„Milcz babo! tyś sama czart czartów; a jeno nie miel wiele językiem, jakby w djabelskim młynie, bo jak chlasnę, to popamiętasz ruski miesiąc".

I powtarza się to tak prawie co dzień, żebyście się moi ludkowie nie dorachowali tych czartów, którymi się nawzajem częstują aż się cała

chałupa trzęsie. To znowu, kiedy które z dzieci co zbroi, zaraz matka na nie:

„Ty przeklęty czarcie! to istny z niego czart będzie, tak, jako i ojciec".

Albo innym razem, kiedy się kłótnia między rodzicami rozpocznie, to jedno po drugiem wykrzykuje:

„A niech tam wszyscy djabli wezmą takie życie! adyć ten dom, to prawdziwe czartowskie gniazdo!"

To też dziecko takich rodziców nasłuchawszy się od niemowlęctwa czartowskiego imienia, na tem większą hańbę ojców swoich ani nie wie, jakby się inaczej nazwać przed obcymi.

Gdy się to zdarzenie pomiędzy ludźmi rozeszło, tak nikt owej wioski nie nazywał przez pogardę inaczej, jak Czartowskiem gniazdem, albo Czartową, które to ostatnie miano pozostało aż dodzisiaj.

Niechajże to wam rodzicom będzie na przykład, jak należy wystrzegać się pilnie używania brzydkich i grzesznych wyrazów, zwłaszcza wobec dzieci, za których wychowanie odpowiedzialni jesteście przed Bogiem. Jak wam należy chamować się w złości i unikac kłótni, bijatyki, aby dzieci wasze źle nauczone za młodu, nie przezywały was podobnem imieniem na hańbę i wstyd siwych włosów waszych. Pamiętajcie, że czem się skorupa za młodu napije, tem na starość trąci, i że wszystko złe u dzieci waszych, wam ludzie słusznie przypiszą, jako tym, którzyście im dali zgorszenie.

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy i dokończenie)

Podczas administracyi Granta poczęto prowadzić politykę miłosierniejszą w obec Indyan, lecz system rezerwacyi i agentów nie został dotychczas jeszcze zniesiony, pomimo iż przyjaciele Indyan od czasów jego urzędowania się oto starają.

W roku 1874 odkryto w rezerwacyi plemienia Sioux, w tak nazwanych czarnych górach złoto, dla czego wielu awanturników poczęło się do tej okolicy udawać. Fakt ten i wiadomość, że rząd zamierzał im odebrać rezerwacyę, podburzyła Sioux'ów tak, iż poczęli się buntować. W roku 1876 przyszło do kroków nieprzyjaznych. Przeciwko Sioux'om wysłano dość znaczny oddział, który ich miał o ile można wziąść do niewoli, lecz zamiar ten nie udał się. Sioux'owie bowiem w pobliżu rzeki Big Horn, wycięli w pień cały oddział jenerała Custer (w dniu 25 czerwca 1876). Wysłano przeciw nich większy oddział, lecz Indyanie pod swym naczelnikiem Sitting Bull wymknęli się do posiadłości angielskich, zkąd dopiero po pięciu latach powrócili.

W tym samym czasie miał rząd także zatargi w Idaho Terr. z plemieniem Nez-Perces (przedziurawione nosy), którzy zostali pobici a część ziemi ich oddano białym do osiedlenia się.

Rok 1876 był dość ważnym z dwóch przyczyn. Był rokiem wyborów i zarazem jubileuszem stoletnim narodu, który został obchodzony wielką wystawą światową „w Philadelphii". Wystawa trwała od maja aż do listopada. W dniu 4 listopada 1876 zostało terytoryum Colorado przyjęte do szeregu stanów — trzydziesty i ósmy z porządku.

Na kandydatów postawili republikanie za prezydenta Rutherforda B. Hayes z Ohio i Williama Wheeler z Nowego Yorku; demokraci zaś Samuela J. Tilden z New Yorku i Tomasza A. Hendricks z Indiana. Walka wyborcza była zaciętą i skończyła się zwycięztwem partyi republikańskiej, czy słusznie — nie naszą rzeczą osądzić. 185 głosów elektoralnych tworzyło większość. Wybory okazały, że Tilden odebrał 184 głosy, podczas gdy wynik w South Carolina, Floryda i Lousiana był niepewnym. Do sprawdzenia prawdy wybrano komisyę, która rozstrzygła, że Hayes i Wilson zostali wybrani.

ROZDZIAŁ XX.

Administracya Hayes'a (1877 - 1881.)

Rutherfort B. Hayes, dziewiętnasty prezydent Stanów Zjednoczonych, objął urząd w dniu 5 mar-

ca 1877 r. Pomimo, iż Hayes zarządzał krajem dość sprawiedliwie, zjednał sobie jednakowoż zaraz z początku nienawiść jednej części ludności stanów północnych, która była niezadowoloną, iż prezydent wydał rozkaz cofnięcia wojska ze stanów południowych, które tam pozostawało od czasu ukończenia wojny. Ponieważ usiłował zaprowadzić reformę służby cywilnej, zjednał sobie jeszcze więcej nieprzyjaciół pomiędzy zwolennikami stronnictwa republikańskiego.

Rok 1877 jest pamiętnym z buntów kolejowych. Bunt rozpoczął się na Baltimore i Ohio kolei w Martinsburgu, gdzie służba kolejowa zastrajkowała o większą płacę. W krótkim czasie rozpowszechnił się strajk po całej kolei a w kilka dni potem i na inne koleje i miasta. Tłum zniszczył w samym Pittsburgu 100 parowozów i wiele wagonów towarowych i nawet kilka budynków. W tygodniu rozszerzył się bunt na zachód aż do samej Californii nawet. Potyczki pomiędzy milicyą a strajkierami były na porządku dziennym. Z czasem udało się wojsku i policyi uśmierzyć bunt i wszystko wróciło do porządku. Rozruchy te trwały przez dni dwanaście.

Podczas administracyi Hayes'a poczęto znów wybijać i wysełać monetę srebrną, co się nie podobało pewnej części ludności, która utworzyła odrębną partyę polityczną znaną pod nazwą „green backerów" od koloru zielonego przeważającego na jednej stronie pieniędzy papierowych. Położenie finansowe kraju i dobrobyt, który od czasu wielkiego „Krachu finansowego" w Nowym Yorku w r. 1873 był podupadł, zaczął się znów polepszać.

Od kilku lat przybywali do Californii z innych stanów Chinczycy i gdy ich liczba coraz się bardziej powiększała, powstało niezadowolenie pomiędzy ludnością robotniczą, gdyż Chinczycy pracowali o wiele taniej, aniżeli ludzie rasy białej, przez co ci zostali ukrzywdzeni. Kongres uchwalił wprawdzie prawo wstrzymujące emigracyę Chinczyków, lecz prezydent zawetował takowe. Dziesiąty spis ludności podjęty w 1880 okazał, że Stany Zjednoczone liczyły 50,155,783 mieszkańców. Największemi miastami co do ludności w roku tym były: New York, Philadelphia, Brooklyn, Chicago, Boston, St. Louis, Baltimore i Cincinnati; najludniejszemi zaś stanami: New York, Pennsylvania, Ohio, Illinois, Missouri i Indiana.

Tymczasem nadszedł znów czas walki politycznej i wyborów. Republikanie zamianowali James'a Garfield'a z Ohio kandydatem na prezydenta a Chester'a A. Arthur za wiceprezydenta; demokraci zaś jenerała Winfield S. Hancock z Pensylvanii. Zwycięztwo posłużyło znów republikanom.

ROZDZIAŁ XXI.

Administracya Garfield'a i Arthur'a (1881 — 1885)

Jak wielu innych tak i Garfield dosłużył się swej godności przez nieustanną pracę. Pracował na statku kanałowym, był cieślą, nauczycielem, profesorem, jenerałem brygady i t. d.

Zaraz na początku jego administracyi zaszedł spór w senacie Stanów Zjednoczonych pomiędzy demokratami i republikanami. Chodziło o organizacyę senatu. Republikanie żądali, aby nowi urzędnicy zostali wybrani, demokraci byli zatem, aby starzy pozostali. W interesach panował przez to przez kilka tygodni zastój. Inny spór pomiędzy naczelnikami dwóch fakcyi stronnictwa republikańskiego, prezydentem i Conklingiem ze stanu New York o obsadzenie niektórych urzędów w Nowym Yorku zakończył się tem, iż Conkling i inny senator z Nowego Yorku opuścili senat, a na miejsce ich wybrano innych. W tym samym czasie zawarł rząd ważne traktaty z ościennemi mocarstwami jak to z Chinami, Stanami Zjednoczonymi Columbia, z Włochami, Marokko, Japonią i innemi.

W tem jak grom z pogodnego nieba przeraziła każdego wiadomość, że niejaki Guiteau, polityczny awanturnik, strzelił do prezydenta w dniu 2 lipca 1881. Morderca powziął zamiar zastrzelenia prezydenta kilka tygodni przedtem i czekał tylko na najlepszą do tego sposobność, która mu się nadarzyła na dworcu w Washingtonie, gdy Garfield wybierał się w podróż do swej żony pozostającej w Long Branch. Wystrzelił dwa razy; drugi wystrzał zadał Garfieldowi niebezpieczną ranę w plecy. Cały świat był oburzony tym czynem, a po całych Stanach Zjednoczonych nie obchodzono rocznicy deklaracyi niepodległości przypadającej w dniu 4 lipca. Guiteau został aresztowany natychmiast, później osądzony i w swym czasie powieszony. Przed sądem oświadczył, że dostał od Boga rozkazy zastrzelenia prezydenta, którego śmierć była polityczną koniecznością. Garfield męczył się przez 80 dni, po którym to czasie pomimo najlepszej troskliwości i pomocy najsłynniejszych lekarzy umarł a Chester A. Arthur zajął jego miejsce.

Nowy prezydent nie zajmował nigdy wyższego stanowiska politycznego, lecz był dobrze znany w stanie New York. Uzyskawszy przypadkowo najwyższy urząd Stanów Zjednoczonych, znajdował się w dość przykrem i delikatnem położeniu, lecz administracya jego była pomimo tego rozsądną i zadowalającą ludność.

Podczas jego zarządu dokończono dwie jeszcze koleje łączące wschód z zachodem, tak nazwaną „Northern Pacific" i drugą „Southern Pacific" kolej. Wysłano także dwie ekspedycye dla wyszukania bieguna północnego, które atoli swego celu nie dopięły.

W dniu 18 listopada 1883 przyjęły wszystkie koleje rachubę czasu ogólnego (Standard Time)

na miejsce zwyczajnego czasu miejscowego. Podług tego urządzenia mają wszystkie miejscowości w jednej dywizyi, obejmującej 15 stopni szerokości, w tej samej chwili jedną i tę samą godzinę i minutę; dywizyi jest pięć, które począwszy od Nowego Yorku, mają każda czas o godzinę późniejszy, jak poprzedzająca. Nietylko po kolejach, lecz także po wielu miastach przyjęto normalny ten czas. Tymczasem zrobiono także postępy na drodze wynalazków. Tomasz Edison i inni wydoskonalili światło elektryczne użyte dla oświetlenia ulic i budynków; elektryczności używa się także do pędzenia maszyneryi i mniejszych pociągów. Wynaleziono także photophone i phonograph, służące do przeniesienia głosu ludzkiego na dalszą odległość, polepszono telefon i t. d.

W tym samym czasie zajmowano się także ważnemi kwestyami politycznemi, jako kwestyą mormońską, kwestyą wstrzemięźliwości, imigracyą chińską i innemi. – Imigracya doszła w czasach administracyi Arthura do niezmiernych rozmiarów i tak przybyło w r. 1882 do Stanów Zjednoczonych 789,000 cudzoziemców. Niejeden z polityków obawia się tak znacznego napływu ludzi różniących się mową, myśleniem, sposobem życia i zarządem od ludności Stanów Zjednoczonych.

Wspomnieć trzeba także o dwóch wielkich dziełach ukończonych w tym czasie. Jednem z nich jest most łączący miasta New York z Brooklynem, a drugim pomnik Washingtona, w mieście tegoż nazwiska, 555 stóp wysoki. Pierwszy jest największym mostem, a drugi najwyższym pomnikiem kiedykolwiek przez ręce ludzkie wystawionym.

Na konwencyach odbytych w Chicago zanominowali republikanie kandydatami: Jamesa G. Blaine z Maine i jen. John'a A. Logan — na prezydenta i wice prezydenta; demokraci zaś Grover'a Cleveland, gubernatora stanu New York, i Tomasza Hendricks, którzy to ostatni wybranymi zostali. Po politycznej banicyi trwającej dwadzieścia i cztery lata, dostali się znów demokraci do steru rządu.

ROZDZIAŁ XXII.

Administracya Clevelanda.

Nowy prezydent szybko wzniósł się do najwyższego urzędu, jakim lud Stanów Zjednoczonych kogokolwiek obdarzyć może. Był adwokatem, szeryfem, burmistrzem miasta Buffalo, gubernatorem stanu New York a nareszcie został prezydentem Stanów Zjednoczonych w dniu 4 marca 1885 r. z każdego prawie urzędu musiał zrezygnować, aby przyjąć wyższy.

Wszystkie prawie urzędy, które zarząd kraju może rozdać (przeszło 10.000) znajdowały się w rękach republikańskich a każdy się spodziewał, iż prawie wszyscy zostaną usunięci lecz nowa administracya postępowała powoli i usunęła urzędników dla ważnych przyczyn tylko, postępując podług zasad reformy służby cywilnej. Bardzo wielu starających się o urzędy było niezadowolonych, lecz umiarkowane postępowanie prezydenta ujednało mu uznanie większej części partyi demokratycznej. Republikańska partya przyjęła klęskę w sposób godny a ci, którzy przepowiadali, że przez zmianę politycznej partyi u steru rzeczypospolitej grozi niebezpieczeństwo, zaniechali swych złowrogich wróżb.

W lipcu 1885 r. kraj zasmucony został zgonem jenerała Grant, który umarł w 63 roku życia. Rodził się w Ohio a wychowanie wojskowe odebrał w West Ponit. Po służbie swej w wojnie meksykańskiej poświęcił się zatrudnieniu prywatnemu. W r. 1861 był jednym z najpierwszych, którzy usługi swe poświęcili krajowi. O szybkiej jego promocyi i wyborze na prezydenta Stanów Zjednoczonych dowiedzieliśmy się z poprzednich rozdziałów. Po złożeniu urzędu, odbył podróż na około świata, po której osiedlił się w Nowym Yorku. Przez nierzetelność spólnika w biznesie utracił wszystko co posiadał i zadłużył się przytem. Zmartwienie i troski, połączone z innemi przyczynami, wywołały u niego zaród choroby, na którą też umarł. Wszystkie stronnictwa i fakcye uważały śmierć jego za stratę osobistą i nieszczęście narodowe. Stany Zjednoczone poniosły w tym samym czasie inne straty tego rodzaju. Wyjmujemy z długiego szeregu ludzi słynnych, którzy umarli, kilku tylko; i tak pożegnali się z tym światem w tym roku: Arcybiskup nowoyorski, John McCloskey, pierwszy kardynał kościoła katolickiego w Ameryce, Peter Cooper, filantropista i fundator zakładu „Cooper Institute w Nowym Yorku, Henry W. Longfellow, największy poeta amerykański i wielu innych ludzi zasłużonych na polu wiedzy i polityki. W dniu 4 sierpnia 1886 r. umarł Samuel G. Tilden, znany polityk, zwolennik stronnictwa demokratycznego.

Wspomnieć trzeba także o wysadzeniu w powietrze w roku 1885 „bramy piekła" (Hell Gate). Była to skała, mająca około 9 akrów w objętności, leżąca pomiędzy Nowym Yorkiem i Brooklynem, która była tak niebezpieczną, iż nie było prawie dnia, iżby się tam statek nie rozbił. Przez trzydzieści lat starano się tę przeszkodę żeglugi usunąć. Przez dziesięć lat zakładał rząd pod nią tunele i ganki a w dniu wyznaczonym wysadzono ją w powietrze za pomocą 13,286 nabojów zawierających dynamit i inne materye wysadzające.

Wspomnieliśmy na innem miejscu, że robotnicy nad wybrzeżem oceanu spokojnego byli niezadowoleni z przybycia Chinczyków do Ameryki. Niezadowolenie to wywiązało się do ta-

kiego stopnia, że robotnicy usiłowali ich gwałtem wyrugować z miejsc w których pracowali. Rozjątrzenie ludu nabrało w Rock Springs, Wyoming Ter., takich rozmiarów, że kilkudziesięciu Chinczyków zostało zamordowanych.

Musimy tu także wspomnieć o rozruchach innego rodzaju, zatargach kapitału z pracą, które w ostatnich latach wywołały strajki i bezrobocia, którym bardzo często towarzyszyły gwałty. Aby temu zapobiedz, uchwalano już w spokojniejszych czasach prawa, na mocy których spory o ile możności mają być załatwione na drodze pokojowej czyli przez arbitracyę. Jednym z celów robotniczych stowarzyszeń jest zaprowadzenie systemu ośmiogodzinnej pracy. Aby to uskutecznić, postanowili robotnicy przestać pracować razem i to w dniu 1 maja 1886 r., i w ten sposób zniewolić pracodawców do zmiejszenia czasu pracy, gdyby w sposób inny tego nie można było dokazać. W pierwszym dniu maja stanęły też dla tego prawie wszystkie większe przedsiębiorstwa, fabryki i t. d. W niektórych przypadkach zrobili pracodawcy niektóre ustępstwa. Z ruchu tego robotniczego, skorzystali anarchiści i socyaliści, aby swe niecne zamiary i zasady przeprowadzić, któremi od samej młodości przesiąkli byli i które do Stanów Zjednoczonych z Belgii, Szwajcaryi a zwłaszcza z Niemiec ze sobą przywieźli. W Milwaukee i Chicago wydarzyły się z tego powodu krwawe zajścia. W pierwszem mieście urządzili socyaliści demonstracyę, w której nieszczęśliwym przypadkiem i Polacy brali udział. W Bay View w pobliżu Milwaukee strzelała w dniu 3 maja milicya do oddziału strajkierów, z których siedmiu czy ośmiu — po większej cześci Polaków — padło trupem. W Chicago zaś zwołali anarchiści zgromadzenie publiczne na tak nazwanym „Hay market" (targ na siano) i tu podburzali lud dość liczny do gwałtów. Gdy nadszedł liczny oddział policyi, aby burzycieli rozproszyć, rzucił jeden z ostatnich, w ścieśnione szeregi tychże bombę dynamitową, która rozsadziwszy się, poraniła przeszło sześćdziesięciu. Policya dała naturalnie także ogień i poraniła nie mało z obecnych; ilu ale — nie było można się nigdy dowiedzieć. Z policyantów umarło siedmiu czy ośmiu na rany otrzymane. — W skutek tych katastrof odwróciła się sympatya ludności od robotników i ruch zaprowadzenia systemu ośmiogodzinnej pracy spełzł na niczem, wyjąwszy w kilku pojedyńczych wypadkach.

Cleveland wziął w dniu 2 sierpnia 1886 r. ślub z panną Folsom w „białym domu". Wtem nie ma nic nadzwyczajnego — wspominamy o tym fakcie li tylko dla tego, ponieważ Cleveland był pierwszym prezydentem — kawalerem, który w mieszkaniu prezydentów brał ślub.

Podczas zarządu prezydenta Clevelanda byłyby Stany Zjednoczone przyszły w zatargi z powodu redaktora Cuttinga, który mając nienawiść przeciw pewnemu urzędnikowi meksykańskiemu, pisał artykuły przeciw owemu w El Paso del Norte i rozsełał je po Meksyku, za co powróciwszy do El Palso (położonem w Meksyku) został aresztowanym i skazany do więzienia. Sprawa ta została załatwiona na drodze politycznej.

W tym samym prawie czasie zaczęły się spory władz amerykańskich z władzami kanadyjskiemi, ponieważ zabierały rybackie okręty amerykańskie, gdy te łowiły ryby po nad wybrzeżami Canady, Nowej Szkocyi, i Nowej Fundlandyi. Mówiono już wiele, że dla tego wybuchnie wojna, lecz w chwili, gdy to piszemy, nie ma najmniejszej wskazówki, żeby tak być mogło. Zdaje się atoli, że kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił, ażeby władze amerykańskie zabierały także statki rybackie z Canady, gdyby takowe w celu łowienia ryb przybliżyły się za bardzo do wybrzeży Stanów Zjednoczonych.

Podczas administracyi Clevelanda wydarzyło się także trzęsienie ziemi (1886 r.) które dało się czuć prawie po całej południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Najbardziej ucierpiało miasto Charleston, S. C., którego czwarta część została zrujnowaną i kilkadziesiąt osób utraciło życie.

W roku 1886 została także zakończona długie lata trwająca walka Stanów Zjednoczonych z Indyanami plemienia Apachesów, których rabusiami, aniżeli wojownikami nazwać można. Naczelnik ich Geronimo poddał się wraz ze swoją bandą wojsku amerykańskiemu i aby już więcej nie mógł szkodzić osadnikom w New Mexico i Arizona, został uwięziony w Fort Picken, Fla., a towarzysze jego w Fort Marion w tym samym stanie położonym.

Godną uwagi jest jeszcze, że w dniu 28 paźdz. 1886 r. odsłonięto na Bedloe Island, w pobliżu miasta New York niezmierną statuę, „Bogini wolności oświecającej cały świat", którą to Francya ofiarowała Stanom Zjednoczonym jako dowód szacunku i przychylności. Wykonał ją słynny rzeźbiarz Bartholdy i dla tego nosi ona nazwę „statua Bartholdy'ego."

Innym wypadkiem, który atoli napełnił serce ludności amerykańskiej smutkiem, jest śmierć byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych — Chestera A. Arthur'a, która nastąpiła w dniu 18go listopada 1886 r.